

POLEMIKI

Lech Jaczynowski

JAKOŚĆ KRYTERIÓW OCENY JAKOŚCI NAUKI I KSZTAŁCENIA

[**słowa kluczowe:** jakość, kryteria oceny, pomiar, wskaźniki, kształcenie, nauka]

Streszczenie

Przedmiotem rozważań w niniejszej polemice są kryteria oceny jakości kształcenia i nauki uprawianej w polskim szkolnictwie wyższym. Na bazie wypowiedzi decydentów podczas różnych ich spotkań ze środowiskiem nauczycieli akademickich i dyskusji wokół tych wypowiedzi, opublikowanych materiałów naukowych, ale też i prasowych (odnoszących się do tego tematu), obowiązujących aktów normatywnych, a także doświadczeń autora uczestniczącego w różnych gremiach oraz uczelnianych komisjach zajmujących się niniejszymi zagadnieniami, subiektywnie zestawiono uwagi krytyczne, pojawiające się w środowiskach akademickich w stosunku do jakości kryteriów oceny działania całego systemu.

* * *

Wprowadzenie

Jest rzeczą oczywistą w organizacji i zarządzaniu, że osoby kierujące jakimkolwiek przedsięwzięciem powinny nie tylko planować i przydzielać zadania do wykonania, ale też kontrolować co i jak jest zrealizowane przez wykonawców. Celem takiego postępowania jest wykrycie i usunięcie przyczyn ewentualnych niesprawności. Od tego, czy wykorzystywane do tej kontroli normy i metody ich pomiaru są odpowiednie zależy jej sensowność. Notoryczne nie spełnianie narzuconych kryteriów niekoniecznie musi świadczyć o indolencji wykonawców. Może być też sygnałem, że być może należy przemyśleć i ewentualnie dokonać korekty obowiązujących norm lub sposobu ich pomiaru, a co za tym idzie ponownej oceny jakości działania.

Zastanówmy się więc co to jest jakość? Na pewno jest to kategoria wielopłaszczyznowa. W ujęciu filozoficznym może to być szczególna cecha przedmiotu lub jakiegoś działania. W ujęciu normatywnym może to być uzyskiwanie czegoś zgodnego z określonym wzorcem wg. założonych kryteriów. Kryterium zaś są to ogólne i szczegółowe mierniki (np. sprawność funkcjonowania)¹.

No właśnie, ostatnio w Polsce bardzo staramy się poprawić jakość kształcenia oraz jakość naszej nauki. Stosowne w tym celu kryteria np. oceny jakości absolwentów poszczególnych uczelni czy oceny jakości osiągnięć naukowych kadry dydaktycznej zatrudnionej w tych szkołach, budzą spore kontrowersje w środowiskach akademickich. Po prostu sporo zasad już istniejących, czy obecnie wdrażanych systemów oceny, jest niezrozumiałych dla wielu interesariuszy. Niektóre z nich niestety też posiadają „drugie dno”, rodzące gwałtowne odruchy sprzeciwu u osób zmuszanych do korzystania z takich rozwiązań.

W niniejszej polemice zestawiono w sposób subiektywny krytyczne uwagi odnoszące się właśnie do jakości kryteriów oceny działalności szkolnictwa wyższego (kształcenie studentów i działalność naukowa pracowników). Te dwa elementy mają charakter celów kumulatywnych tzn. osiągnięcie efektów w zakresie jednego wspomaga w pewnych zakresach efekty osiągane w drugim. Oparto się tu na wypowiedziach decydentów podczas różnych spotkań ze środowiskami nauczycieli akademickich i dyskusji wokół tych wypowiedzi, opublikowanych materiałach naukowych, ale też i prasowych (odnoszących się do tego tematu), zapisów w obowiązujących aktach normatywnych, a także odwołano się do doświadczeń autora, uczestniczącego w różnych gremiach naukowych oraz w uczelnianych komisjach zajmujących się niniejszymi zagadnieniami.

Najwyższa półka

Jednym z najbardziej cenionych kryteriów oceny osiągnięć naukowych jest przyznawana od 1901 roku nagroda Nobla. Na jednym ze spotkań minister Barbary Kudryckiej w 2011 roku ze środowiskami pracowników nauki (w tym przypadku z ekonomistami), martwiła się ona małą liczbą polskich noblistów, tak jakby winę za taki stan rzeczy ponosili sami naukowcy. Jest w tym żalu kilka niekonsekwencji.

¹ Więcej na temat definicji tu przytoczanych zobacz w: *Encyklopedia organizacji i zarządzania* (red. L. Pasieczny) PWE Warszawa 1981 oraz w dziele T. Pszczółowskiego *Mała encyklopedia prakseologii i teorii organizacji*. Ossolineum, Wrocław, Warszawa, Kraków, Gdańsk 1978, a także w: J. Stoner, R. Freeman, D. R. Gilbert jr.: *Kierowanie*. PWE Warszawa 1997.

Pierwszą jest kryterium – kogo uznajemy za „naszego” noblistę? Drugą jest oczywisty fakt, że nie wszyscy nobliści są naukowcami. Podstaw do namysłu nad tak sformułowanymi problemami dostarcza praca Marii i Przemysława Pilichów². Autorzy przytaczają biografie aż 63 laureatów tej nagrody, którzy w taki czy inny sposób związani byli z szeroko rozumianą polskością. O co tu chodzi, skoro w polskich encyklopediach oficjalnie przyznajemy się tylko do sześciu osób: M. Skłodowska-Curie (1903 – fizyka oraz 1911 – chemia), H. Sienkiewicz (1905 – literatura), W. Reymont (1924 – literatura), Cz. Miłosz (1980 – literatura), L. Wałęsa (1983 – n. pokojowa), W. Szymborska (1996 – literatura). Jak widzimy większość z nich to laureaci n. Nobla w dziedzinie literatury. Jedna osoba otrzymała n. Nobla za działalność na rzecz pokoju. Tylko jedna (wprawdzie dwukrotnie) otrzymała tę nagrodę w dziedzinach wymagających prowadzenia badań naukowych.

Przyjrzyjmy się więc kim są postacie opisywane w cytowanym tu opracowaniu. Po pierwsze są to osoby przyznające się do narodowości polskiej, posiadające jednak obce obywatelstwo. Tak przy okazji wśród tych przez nas uznawanych, trudno mówić o obywatelstwie polskim M. Skłodowskiej-Curie (pochowana jest w Paryżu w Panteonie najwybitniejszych Francuzów), czy H. Sienkiewicza, bo w ich czasach Polska była pod rozbiorami. Podobnie Cz. Miłosz od 1960 roku przebywał na emigracji w USA. Zachował jednak przeterminowany paszport polski. Decydujące w ich przypadku wydaje się być odwoływanie do polskich korzeni. Dlaczego więc nie przyznajemy się np. do Amerykanina Alberta Michelsona (1907 – fizyka), którzy zawsze, aż do swojej śmierci w 1931 r. uważał się za Polaka (Pilichowie 2010 s. 5)? Wiele jest takich osób, które z różnych względów musiały wyjechać z naszego kraju. Sporą część, bo aż 16 noblistów, stanowią urodzeni w Polsce Żydzi. Czyżby to miało być dla nas kryterium selekcji? Inną, znaczącą grupę noblistów stanowią osoby o polskich korzeniach poprzez swoich rodziców lub dziadków. Klasycznymi przykładami są tu postacie Iréne Joliot-Curie (1935 – chemia), córki Marii Skłodowskiej-Curie, a więc pół Polka, pół Francuzka, czy Klause von Klitzinga (1985 – fizyka), którego ojciec Bogisław miał polskie obywatelstwo i był polskim oficerem³.

² M. i P. Pilichowie; *Nobliści znad Wisły, Odry i Niemna*. Sport i Turystyka. MUZA SA. Warszawa 2010.

³ Wśród najbardziej rozpoznawalnych naukowców o mieszanych więzach krwi (o czym często zapominamy) jest również M. Kopernik, a przecież jego klasyfikujemy jednoznacznie (przyyp. L. J.). Gdyby w jego czasach była już nagroda Nobla to i tak byłyby problem, bo nagrody Nobla za osiągnięcia w dziedzinie astronomii nie ma. No chyba, że w dziedzinie fizyki.

Ostatnią opisywaną przez M. i P. Pilichów grupą noblistów są osoby, które urodziły się i kształciły na ziemiach nasyconych społecznością polską, ale same się z nią nie utożsamiają. Szanując ich wybór, to i tak pozostaje, wg cytowanych tu autorów, zespół 33 postaci, którymi mogli byśmy się pochwalić, a nie czynimy tego!

Do grupy nazwijmy to klasycznych noblistów, których nagroda wynika z zapisu w testamencie A. Nobla określającym dziedziny nią objęte (fizyka, chemia, fizjologia lub medycyna, literatura oraz za działalność na rzecz zbliżenia między narodami), od kilkudziesięciu lat próbuje się dołączać jako dodatkową nagrodę – w dziedzinie ekonomii. Mamy tu do czynienia z wielkim uproszczeniem, aby nie powiedzieć nadużyciem. Jest to wprawdzie nagroda przyznawana przez Królewską Szwedzką Akademię Nauk (od 1969 r.) i wręczana zgodnie z rytuałem noblowskim, ale jest to nagroda im. A. Nobla, a nie nagroda Nobla.

Nagroda w dziedzinie ekonomii ufundowana została przez Sverge Riksbank trzechsetną rocznicę jego założenia. Skoro piszemy o precyzji kryteriów zaliczania czegoś lub kogoś do określonej kategorii lub grupy, to warto tu też zauważyć zaskakujący fakt, że w polskich encyklopediach nie można znaleźć pełnej nazwy tej nagrody. Oficjalnie brzmi ona: Nagroda Banku Szwecji w dziedzinie nauk ekonomicznych ku czci Alfreda Nobla (*The Bank of Sweden Price in Economic Science in Memory of Alfred Nobel*)⁴.

Jak widzimy w innych dziedzinach wiedzy, nagród Nobla nie przyznaje się. Fetyszyzując nagrodę Nobla niestety niechcący deprecjonujemy w świadomości społecznej pozostając poza jej zasięgiem olbrzymie obszary współczesnej wiedzy. Nie można więc liczby naszych noblistów wykorzystywać jako syntetyczny wskaźnik poziomu polskiej nauki.

Kolejnym kryterium stosowanym do oceny jakości naszej nauki jest ocena parametryczna jednostki naukowej na bazie punktów jakie uzyskali jej pracownicy. W Polsce były to kiedyś punkty KBN (Komitet Badań Naukowych). Dzisiaj są to punkty przyznawane przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Jednak największą popularność zyskuje tzw. *Impact Factor* (IF), tzn. punkty przyznane za publikacje w czasopiśmie znajdującym się na tzw. *liście filadelfijskiej* (Thomson Scientific Master Journal List). Wspomniane punkty mają kilka wad. Przede wszystkim nie do końca świadczą o jakości konkretnego opracowania naukowego, tylko o tym, że zapewne ma ono wysoki poziom, bo przyjęto je do druku w renomowanym czasopiśmie. Punkty jakie uzyskuje nasza publikacja są obliczane dla danego czasopisma na bazie cytowań w innych czasopismach, prac z naszego

⁴ Porównaj w pracy T. Orłowskiego: *Nowy leksykon ekonomiczny*. Oficyna Wydawnicza Graf. Punkt, Warszawa 1998, aneks 7 s. 367.

czasopisma – oczywiście tych, które ukazały się w przeszłości. Co roku więc liczba przyznawanych punktów może się zmieniać i to co otrzymamy zależy w znacznej mierze od dozy szczęścia. W Polsce czasopisma, które nie posiadają IF i nie mogą zostać zaliczone do grupy A, mogą starać się o zaliczenie ich do grupy B – czasopism krajowych o niższej punktacji.

Warto pamiętać, że punkty służą do oceny jednostki naukowej jako suma punktów uzyskanych przez jej pracowników za publikacje w danym roku. Od tego zależy jej kategoryzacja i dotacja na badania naukowe w roku następnym. W zasadzie nie stosuje się ich do oceny konkretnego naukowca. Jednak wiele rad wydziałów w naszym kraju przyjęło uchwały, że np. do otwarcia przewodu habilitacyjnego kandydat powinien wykazać się dorobkiem np. minimum 100 pkt. Trwa więc walka o to, aby umieszczać swoje publikacje w wysoko punktowanych czasopismach. Wspomagają te tendencje, zalecenia funkcjonujące w często znakomitych ośrodkach naukowych, aby np. pracownicy nie publikowali swoich prac w czasopismach o niskiej wartości punktowej.

Na tym tle narastało tyle emocji, że aż trudno jest pisać o tych sprawach bez obawy, że będzie się posądzonym o stronniczość. Wesprzyjmy się więc przykładami. Gdy w Polsce trwa gloryfikacja publikacji w czasopismach z listy filadelfijskiej, w *Gazecie Wyborczej* w maju 2012 roku ukazał się artykuł opisujący tendencję odwrotną⁵. Po prostu najlepsze światowe uniwersytety zaczęły prosić swoich pracowników aby przestali publikować w renomowanych, ale bardzo drogich czasopismach naukowych.

W Polsce również zaczęły pojawiać się wypowiedzi krytykujące istniejącą sytuację w omawianym tu zakresie. I tak na konserwatorium „Czwartki u ekonomistów” (jake odbyło się 8.03.2012 r. w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym) pt. *Publikacje naukowe jako element oceny parametrycznej i kategoryzacji jednostek naukowych*, prezes tego towarzystwa E. Mączyńska zwróciła uwagę na to, że pojawiły się nachalne firmy, które zgłaszają się do czasopism naukowych oferując odpłatną pomoc w takim ustawieniu czasopisma, aby mogło ono uzyskać większą liczbę punktów. Wypowiadający się redaktorzy naczelni czasopism, obecni na spotkaniu, krytykowali rygorystyczne kryteria przyznawania punktów narzucone przez MNiSW. Nie dlatego, że są nierozsądne, tylko dlatego, iż spełnienie ich zwiększa koszt. Tymczasem w dobie kryzysu nie ma skąd na to wziąć pieniędzy. Nawet jeżeli czasopismo jest w tej szczęśliwej sytuacji, że jest dotowane, to pieniądze wpływają ze znacznym opóźnieniem. Trzeba więc oszczędzać na

⁵ Zobacz opracowanie A. Hołdysa pt. *Bunt najlepszych*. „Gazeta Wyborcza” z 16.05.2012 r. s. 18.

wszystkim (zewnątrznymi recenzentami, native speaker, korektorzy, adiustatorzy itd.), a to grozi obniżeniem punktacji przyznanej czasopismu za niespełnienie wymagań formalnych.

Ciekawą wypowiedź miał też podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego Marek Ratajczak. Zwrócił on uwagę na istnienie zjawiska dążenia do zwiększenia „cytowalności” własnego czasopisma poprzez zrzeszanie się w swoiste „spółdzielnie cytowalnicze”. Nasi autorzy cytują waszych i odwrotnie (sic!). Z kolei charakteryzując działalność firmy Thomson – Reuters, między innymi wydającej Journal Citation Reports (JCR), zwrócił uwagę zebranych na komercyjny (biznesowy) aspekt jej działalności. Całość spuentował zaś stwierdzeniem, że trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że firma ta prowadzi listę filadelfijską nie tyle dla światowego rozwoju nauki, ale dlatego, aby przy okazji po prostu zarobić. W kontekście powyższej wypowiedzi bardziej zrozumiałą staje się bunt najlepszych uniwersytetów na świecie przeciwko kosztom publikowania w renomowanych czasopismach (o czym było wcześniej). Wszystko to rysuje przykry obraz, na którym zubożony cel jakości publikacji duszony jest kosztami, na jakie nie wszyscy mogą sobie pozwolić. I tak faktyczna jakość konkretnej publikacji naukowej zaczyna gubić się gdzieś po drodze.

Szufladkowanie nauki

W poprzedniej części nie wspomniano jeszcze o tym, że czasopisma naukowe publikujące prace z zakresu nauk matematycznych i przyrodniczych mają nieco inne kryteria punktowania niż czasopisma publikujące prace z zakresu nauk humanistyczno-społecznych. Rodzi to konsekwencje, gdyż wiele czasopism naukowych (zwłaszcza uczelnianych) nie ma charakteru monodyscyplinarnego. Powstaje też pytanie co robić, gdy konkretne opracowanie jest na pograniczu dwóch lub więcej dyscyplin naukowych.

Ciekawą wypowiedź na ten temat miał w porannym programie radiowym 23.09.2012 r. Maciej Geller (organizator i kierownik kolejnych edycji Festiwalu Nauki), naukowiec z Wydziału Fizyki UW. Zwrócił on mianowicie uwagę na istnienie obszarów brzegowych między różnymi dyscyplinami naukowymi. Dla zilustrowania problemu przytoczył konkretne przykłady z pogranicza fizyki i chemii, a także chemii i biologii. Jak zakwalifikować takie prace i w jakim czasopiśmie je publikować? Podobny problem miał noblista w dziedzinie ekonomii z 2005 r. Thomas C. Schelling, który zajmował się teorią gier (pogranicze matematyki i zarządzania). Udowodnił on w swojej *Strategii konfliktu* (1960), że rozwiązanie sytuacji

konfliktowych, tylko na bazie modelu matematycznego może być niemożliwe bez uwzględnienia dorobku nauk społecznych, a dotyczących np. uwarunkowań kulturowych naszego przeciwnika⁶.

Podobne problemy występują oczywiście też w innych obszarach wiedzy. Jak można mówić o jakości publikacji, jeżeli zasklepi się ona tylko w jednym dziale i nie będzie uwzględniać innych uwarunkowań wpływających na kompleksowe (holistyczne) ujęcie danego tematu. Zarządzanie znajdujące się w tytule niniejszego czasopisma naukowego graniczy przecież nie tylko z matematyką, ale też z paroma jeszcze innymi naukami. Pełna nazwa tej dyscypliny naukowej to organizacja i zarządzanie.

I tak St. Sudoł w swojej pracy pt. *Nauki o zarządzaniu* (2007 s. 37) zwraca uwagę na to, że w oficjalnej klasyfikacji nauk, ta dyscyplina naukowa jest zaliczana do dwóch dziedzin nauki: nauk ekonomicznych, ale też do nauk humanistycznych. Autor ten podkreśla, że według niego nauki o zarządzaniu największe związki mają z naukami ekonomicznymi.

Ponieważ dyscyplina naukowa nazywana organizacją i zarządzaniem jest bliska mojemu sercu, na jej przykładzie spróbuję wykazać jak wielorakie są jej powiązania z innymi jeszcze obszarami wiedzy i mam tu pełną jasność, że zestaw przykładów będzie daleko niekompletny. Na początek przywołajmy tytuły dwóch prac jakie przed laty pojawiły się na naszym rynku. Pierwsza to *Wstęp do socjologii organizacji* M. Hirszowicz (1967), druga to *Spoleczna psychologia organizacji* D. Katz'a i R. Kahn'a (1979). Ciekawostką jest też tytuł pracy z początku XX wieku, *Życie seksualne dzikich* B. Malinowskiego (wydanie polskie 1967), w której uzmysławia nam ten amerykański antropolog społeczny, jakie są mechanizmy tworzenia organizacji w określonej grupie społecznej. Przywołane wyżej tytuły jednoznacznie chyba wskazują, że o organizacji i zarządzaniu można debatować z bardzo różnych punktów widzenia.

Jeszcze dobitniej wypowiada się na ten temat laureat nagrody im. A. Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych z 1978 r. H. A. Simon, który nieco wcześniej, we wspólnej książce z J. G. March'em pt. *Teoria organizacji* (1964 s. 31) napisał, że tak naprawdę to ojciec NOP (naukowej organizacji pracy), inżynier reprezentujący nauki techniczne, Frederick W. Taylor stworzył „fizjologiczną teorię organizacji”. Autorzy ci nie wspominają nic o tym skąd u F. Taylora pojawiły się ciągoty do selekcji robotników ze względu na ich fizyczne predyspozycje, skąd pomysł modelowania techniki wykonywanych przez nich ruchów i stosowania

⁶ Więcej zobacz w artykule Leszka Baja pt. *Jak uniknąć wojny nuklearnej*. Gazeta Wyborcza z 15 października 2012 r. s. 24.

chronometrażu, wreszcie ćwiczenie ich tak, aby osiągnęli oni rekordowe wyniki. Sprawa wyjaśnia się gdy sięgniemy do *Official Encyclopedia of Tennis* Ed. United States Tennis Association (1975), z której dowiadujemy się, że nasz bohater zdobył w 1881 r. w Newport (grając w deblu z C. M. Clark'iem) w I Mistrzostwach Krajowych w Tenisie tytuł mistrza Stanów Zjednoczonych. Jego ciągoty do sportu zauważył też J. A. F. Stoner i R. E. Freeman w swojej książce *Management (Annotated Instructor's Edition)* (1968 s. 36) pisząc, że F. W. Taylor uważnie analizował inną dyscyplinę sportu, mianowicie krokiet (*croquet*), a jej wyniki pozwoliły mu na sformułowanie słynnej zasady „najlepszej jednej drogi”. Kropkę nad „i”, w sprawie wpływu wiedzy z zakresu sportu na osiągnięcia F. W. Taylora przynosi informacja o tym, że 9 lutego 1886 roku otrzymał on patent N° 335.656 na rakiety do tenisa, a 20 czerwca 1905 roku patent N° 792.631 na kij golfowy. Sam F. Taylor na konferencji na temat naukowego zarządzania, jaka odbyła się w The Amos Tuck School w 1911 r., w odczycie pt. *Scientific Management* wygłosił znamienne tezę ...”Wprowadzając naukowe zarządzanie w bardzo małym stopniu opieramy się na własnych pomysłach. Wszystko co robimy opiera się na cudzych pomysłach. Naukowe zarządzanie nie sili się na oryginalność. Jestem z tego dumny...”

Reasumując, jeżeli sprawami organizacji zajmują się – jak widzimy powyżej, nauki techniczne, ekonomia, socjologia, psychologia, antropologia społeczna, fizjologia, a nawet nauki o kulturze fizycznej – to jak można postulować aby czasopismo naukowe zajmujące się organizacją i zarządzaniem odmawiało dostępu na swoje łamy prac stricte organizacyjnych, ale wykorzystujących warsztat badawczy właściwy innym dyscyplinom naukowym? Nie szufladkujmy nauki. Przyjmijmy może za Ludwigiem von Bertalanffy (biologiem), twórcą ujęcia systemowego, tezę o konieczności badań i nauczania wielodyscyplinarnego i interdyscyplinarnego, bo często to co najciekawsze kryje się właśnie w oddziaływaniach między elementami.

Bełkot terminologiczny

Za chwilę omawiając problemy związane z jakością kryteriów oceny jakości kształcenia przywołamy trudne do zaakceptowania, narzucone przez urzędników, znaczenie terminu kompetencje. Teraz jednak spójrzmy na problem szerzej – jako problem komunikacji społecznej, gdy interlokutorzy posługując się tym samym językiem, wkładają pod poszczególne pojęcia różne treści i znaczenia. W konsekwencji nie mogą się zrozumieć. I dotyczy to naukowców w ramach jednej dyscypliny naukowej. A co mają powiedzieć laicy, słuchający ich specjalistycznego (hermetycznego) języka? Istna wieża Babel!

Pod koniec ubiegłego wieku ukazały się w Polsce dwa podręczniki akademickie z zakresu organizacji i zarządzania. Jeden z nich został zatytułowany *Kierowanie* (J. Stoner, Ch. Wankel – 1992), drugi *Zarządzanie* (red. A. Koźmiński, Wł. Piotrowski – 1995). Oba traktujące o tych samych zagadnieniach, ale wykorzystują różne terminy, wprawdzie bliskoznaczne, ale nie będące przecież synonimami. Tak samo jak nie są nimi inne o podobnym charakterze jak np. rządzenie, przewodzenie, administrowanie, dowodzenie, sterowanie itp.

W innej zupełnie dziedzinie – naukach o kulturze fizycznej – ustawodawcy w 2010 r. niepomni dorobku kilku pokoleń teoretyków, próbują wyrugować z języka polskiego termin „kultura fizyczna” (bo to rzekomo rusycyzm) oraz pojęcie „rekreacja” (bo to wg nich to samo co sport).

Jak żyć i porozumiewać się w świecie tak zmieniającym swój język? A może warto choć przez chwilę sięgnąć do uzasadnień jakimi posługiwali się klasycy danego gatunku⁷. Boję się, że tego typu problemy mogą występować we wszystkich dyscyplinach naukowych. Można więc postawić retoryczne pytanie – jeżeli oceniany naukowiec i recenzent oceniający jego dorobek naukowy nie do końca się rozumieją, to czy taka ocena może być rzetelna?

Nic złego o nas

Załóżmy jednak, że mimo selekcji negatywnej (no może nie zawsze) najlepsi naukowcy trafili do dydaktyki w szkole wyższej. Pierwszym problemem, który im będzie utrudniał pracę jest brak przygotowania pedagogicznego. Zdumiewające jest to, że w naszym kraju rzemieślnik przyjmujący ucznia do terminu (ma z tego tytułu ulgi podatkowe), musi mieć ukończony kilkudziesięciogodzinny kurs tzw. pedagogizacji. Asystentem można zostać bez takiego przygotowania, a potem improwizować i zrażać do siebie i reprezentowanej dyscypliny naukowej kolejne roczniki swoich podopiecznych.

Co potrafi zrobić ze studentem nie panujący nad swoimi emocjami, sfrustrowany nauczyciel akademicki, wiedzą tylko dziekani oraz opiekunowie roczników. Od 1995 roku w kolejnych ustawach Prawo o szkolnictwie wyższym, pojawia się

⁷ W zakresie zarządzania mógłby to być J. Zieleniewski, który w pracy pt. *Organizacja i zarządzanie*, PWN 1969, zdefiniował znaczenie większości wspomnianych terminów bliskoznacznych jako różnicowanych źródłem pochodzenia władzy kierowniczej. W zakresie kultury fizycznej np. Amerykanin Bernarr Macfadden, który w swojej *Encyclopedia of Physical Culture*, New York 1911, już wówczas doprecyzował znaczenia spornych dzisiaj terminów.

zapis o tzw. ankietyzacji – czyli zbieranie opinii studentów o swoich profesorach. Niekiedy włos się jeży na głowie, ale solidarność grupowa zazwyczaj skutecznie neutralizuje negatywne opinie. No bo jak niby ma być – uczeń będzie krytykował swojego mistrza?

Studenci jednak krytykują nie tylko prowadzących zajęcia (nieprzygotowani, nie reagują na zgłaszane potrzeby), ale przy okazji zwracają też uwagę na złą organizację procesu dydaktycznego (np. zbyt mało zajęć praktycznych, czy zajęcia są w zbyt dużych grupach), na słabe wyposażenie w pomoce dydaktyczne (mało specjalistycznej literatury w bibliotece, czy brak odpowiednio wyposażonych laboratoriów) itd. itp. Czynniki tego typu jeżeli wystąpią w danej szkole wyższej na pewno wpływać będą na jakość kształcenia. A przecież o to nam chodzi. Nie bójmy się opinii studentów, bo o wadze ich wypowiedzi decydować będzie statystyka, a nie pojedyncze oskarżenia paru niedocenionych.

Proces boloński

Deklaracja Bolońska z 1999 roku, podpisana i ratyfikowana od razu przez Polskę, stworzyła ramy do ujednoczenia systemów kształcenia w Europie na poziomie wyższym. Zapoczątkowany wówczas proces boloński doprowadził do trzystopniowego systemu kształcenia, wprowadzenia punktów ECTS, mobilności studentów i naukowców, suplementu do dyplomu, wreszcie narodowych ram kwalifikacji. Te ostatnie powinny być ostatecznie wdrożone w bieżącym roku akademickim⁸.

Jak każda reforma również i ta napotykała na większe lub mniejsze opory (głównie mentalne) w środowisku akademickim.

Zmiany zachodzące pod jej wpływem w XXI wieku, w europejskiej przestrzeni szkolnictwa wyższego są ewidentnie, ale często realizowane w zróżnicowany sposób w poszczególnych krajach. Bolączek (nad którymi u nas przechodzi się do porządku dziennego) jest w tym obszarze kilka. Działa tutaj coś co można nazwać przyzwyczajeniem, konserwatyzmem, a może nawet skutkiem działania tzw. „prawa przekory” występującego we wszystkich reorganizowanych systemach.

I tak trzystopniowość studiów wynikająca z Deklaracji Bolońskiej z 1999 r. zakłada, iż pierwszy stopień kształcenia (licencjacki), to studia zawodowe, drugi stopień to uzupełniające studia magisterskie (przygotowujące do pracy naukowej,

⁸ Więcej zobacz w pracy J. Żyśko i B. Chełmeckiego pt. *Deklaracja Bolońska w dziesięć lat po jej podpisaniu*. Rocznik Naukowy Wydziału Zarządzania w Ciechanowie. Ciechanów 2009, zeszyt 1-2, tom III s. 71-84.

ale też na różnych stanowiskach kierowniczych), wreszcie trzeci stopień to studia doktoranckie. Największym nieporozumieniem u nas jest to, że na drugi stopień starają się dostać prawie wszyscy po stopniu pierwszym. Tak więc na stopniu magisterskim liczba studentów zbliża się u nas do 90% tych co ukończyli licencjat, podczas gdy średnia europejska jest tylko nieco ponad 30%⁹. To wszystko oczywiście słono nas kosztuje i rosłą rzeszę bezrobotnych i często nikomu niepotrzebnych magistrów.

Kolejną ciekawostką jest ignorowanie w wielu uczelniach bolońskiej zasady, dopuszczającej możliwość studiowania (na wyższym stopniu kształcenia) na innym kierunku niż był realizowany na poziomie licencjackim przez danego studenta. Ambitni studenci od razu (tak na wszelki wypadek) studiują więc na dwóch kierunkach od A do Z. Oczywiście to znowu pomnaża koszty. Wstydliwą tajemnicą poliszynela w pewnych uczelniach jest też to, że niektórzy nauczyciele na wyższym stopniu, realizują te same lub prawie te same treści co na stopniu niższym. Mówiąc o jakości kształcenia może warto byłoby bliżej przyjrzeć się temu zjawisku.

Następną sprawą, która przybiera u nas oryginalne formy jest System Transferu Punktów Kredytowych (ECTS – European Credit Transfer System). Zasady bolońskie zakładały, iż do zaliczenia semestru koniecznych jest uzbieranie przez studenta 30 punktów. Dodatkowo znaczny ich procent powinien pochodzić z przedmiotów, które student sam sobie wybierze z oferty przygotowanej przez uczelnię. Ponieważ oznacza to płynność grup dziekańskich i utrudnia planowanie rozkładu zajęć, znowu w wielu naszych uczelniach (nie można twierdzić, że we wszystkich) wybór dla studenta ogranicza się do grupy językowej oraz grupy seminarium dyplomowego. Niekiedy, gdy jednak jest coś do wyboru, to spotyka się praktyki, iż dziekan dzieli rocznik i przydziela sam studentów do jakiejś grupy (sic!). Sztywność oferty jest pokłosiem obowiązujących wiele lat tzw. standardów nauczania, które narzucały co i w jakiej liczbie godzin na danym kierunku nauczania powinno być zrealizowane. Miało to też konsekwencje w postaci liczby punktów ECTS przypisywanych poszczególnym przedmiotom na danym wydziale. Niby obowiązuje zasada, że zależy to od wkładu pracy jaki musi przeciętny student włożyć w opanowanie danego przedmiotu, ale dziekani (komisje) często kierowali się zasadą, że jeżeli mamy w siatce określone przedmioty to suma punktów ECTS im przypisana musi zbilansować się w danym semestrze na wymagane 30. Niestety pomysły niektórych naszych uczelni, aby kilkupunktowy brak w da-

⁹ Dane te są w posiadaniu MNiSW, ale mimo, że nie są poufne, dotarcie do nich nie jest proste (przyp. L. J.).

nym semestrze student mógł nadrobić w następnym semestrze, bez konieczności powtarzania roku, nie były zbyt głośno propagowane.

Zupełnym nieporozumieniem zaś było częste traktowanie najbardziej kreatywnych studentów, korzystających z programu ERASMUS, jak „podejrzany element”, próbujący ominąć po cwaniacku niektóre podstawowe przedmioty w macierzystej uczelni. Znane są przypadki, że student wracający z takiej wymiany z dorobkiem 30 pkt. ECTS uzyskanych w zagranicznej uczelni, był cofany przez dziekana do powtarzania roku.

Jest jeszcze coś z powyższym związane, co nakazuje nam zastanowić się nad innowacyjnością naszego kształcenia. Ponieważ w różnych krajach stosuje się różne systemy oceny wiedzy studenta, wymyślono oceny ECTS oznaczone symbolami A; B; C; D; E. Dla ocen niedostatecznych FX oraz F. Bo jak porównać np. naszą ocenę dostateczny plus (3+) z obowiązującym np. w Belgii czy Portugalii systemem dwudziestopunktowym, czy odwróconym systemem w Niemczech czy Austrii, gdzie najlepszą oceną jest 1 (u nas bez sensu kojarzona z pałą). W ocenie ECTS nasze 3+ to litera D. Analogicznie w cytowanej wyżej Belgii litera D odpowiada 11-12 pkt, a w Austrii – tamtejszej ocenie 3. W kraju tym nasza trójka oznaczana jest jako 4, ale obie oceny mają w ECTS oznaczenie E¹⁰. Jest jednak jeszcze jedna sprawa związana z zasadą bolońską, mianowicie rozkład ocen pozytywnych ECTS powinien mieć w danej grupie studenckiej rozkład taki, że oceny A i E powinny wśród wszystkich ocen pozytywnych, stanowić po 10%, oceny B i D odpowiednio po 25%, a ocena C (nasza ocena dobry) powinna występować w 30% przypadków¹¹. Czy ktoś to u nas stosuje, bo jakoś nic o tym nie słychać.

Krajowe ramy kwalifikacji (KRK)

Proces boloński miał swoje etapy. Jednym z nich był tzw. komunikat z Bergen z 2005 r. (podpisany przez 45 krajów) zarysowujący narodowe ramy kwalifikacji w stosunku do ośmiu poziomów odniesienia. Opisują one, co na danym poziomie uczeń (student) opanował w zakresie wiedzy, umiejętności, kompetencji. Ten schemat ma umożliwić ocenę wyników nauczania. W przypadku uczelni wyższych

¹⁰ Zaczepnięto z opracowania Karen Petry, *Europäische Sportstudent*, Deutsche Sporthochschule Köln 2004.

¹¹ Porównaj w: *Europejski System Transferu i Akumulacji punktów, suplement do dyplomu – przewodnik*. Wyd. Narodowa Agencja Programu SOCRATES – ERASMUS. Warszawa 2004 s. 55.

proces ten aktualnie jest w Polsce realizowany, jednak wywołuje u wielu nauczycieli akademickich spore emocje. Najwięcej słowo „kompetencje”. O ile w stosunku do wiedzy i umiejętności w zasadzie nie ma zastrzeżeń, to słowo „kompetencje” budzi wątpliwości. Niektórzy próbują nazywać to kompetencjami społecznymi, inni postawami. Jest w tym jakaś racjonalność bo celem każdego szkolnictwa jest nie tylko nauczyć czegoś, ale też wychować młodego człowieka przekazując mu określone wzory postaw i zachowań wobec otaczającej nas rzeczywistości. Kłopot polega jednak na tym, że słowniki języka polskiego tłumaczą znaczenie tego terminu jako „zakres władzy, pełnomocnictw, uprawnień, odpowiedzialności czy oficjalnego uznania umiejętności”¹². A to ostatnie podkreśla, że zależy nam na oficjalnym uznaniu, bo wcześniej mamy już punkt „umiejętności”, więc powtarzać się nie ma sensu. Logiczne wydaje się tu też być „zakres uprawnień”. Jak ktoś zabiera się za leczenie bez dyplomu lekarza, to jest znachorem – nawet jak ma jakieś w tym zakresie osiągnięcia. Jak mamy prawo jazdy kategorii B – to możemy wyjechać na drogi publiczne samochodem osobowym. Nie mamy jednak kompetencji do jazdy motocyklem (bo tu trzeba mieć uprawnienia kategorii A), ani samochodem ciężarowym (wymagana jest kategoria C) czy autobusem (kategoria D). Na odpowiednich kursach przygotowuje się nas do zdawania egzaminu w zakresie określonych kompetencji (zakresu uprawnień). Zapominanie o tym znaczeniu terminu „kompetencja” wspomagane jest obecną tendencją do deregulacji wielu zawodów. Szczerze mówiąc wołałbym trafić w ręce kompetentnego fachowca niż mieć do czynienia ze średniowiecznym szturarzem (partaczem)¹³. W dostępnych wzorach krajowych ram kwalifikacji takiego rozumienia słowa „kompetencje” niestety nie spotkamy. I to może budzić niepokój.

Podsumowanie

Reasumując można powiedzieć, że jakość kryteriów oceny jakości kształcenia i nauki (są to elementy pewnej całości) budzi poważne wątpliwości w wielu środowiskach akademickich w naszym kraju, ale jak się okazuje również na świecie. Problem jest za poważny, żeby mechanicznie stosować określone rozwiązania bez

¹² Porównaj w: *Mały słownik języka polskiego*, red. S. Skorupki, H. Anderskiej, Z. Łempickiej. PWN Warszawa 1974 s. 291.

¹³ Termin szturarz występuje w *Słowniku wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych* Władysława Kopalińskiego (pierwsze wydanie Internetowe), ale brak go w *Wielkim słowniku wyrazów obcych* Krakowskiego Wydawnictwa Naukowego 2008.

pogłębionej dyskusji w środowiskach zainteresowanych tymi problemami. Poza tym przysłowiowy diabeł tkwi w szczegółach. Jakoś nikt np. nie podnosi problemu dużej absencji studentów na wykładach (w wielu szkołach są one nieobowiązkowe). Nie ma w tej dyskusji głosów, że młodzi naukowcy zanim dojrzeją do publikowania w renomowanych czasopismach powinni terminować (praktyka czyni mistrza) w czasopismach nie aż tak renomowanych, ale przecież też poważnych. Na początku kariery na ogół jeszcze nie ma się grantów, więc koszt badań, ale też i samej publikacji musi być na miarę możliwości takich młodych naukowców. Na publikowanie w renomowanych czasopismach może im po prostu brakować środków. Wreszcie trzeba przypomnieć sobie, że jakość szkoły wyższej zależy (poza twórczością naukową jej pracowników) również od jakości działalności dydaktycznej kadry. Nie powinna ona być dodatkiem (przy okazji) do tej pierwszej. Wiedzę najlepiej przekazują pasjonaci, ale o kryteriach pomiaru zaangażowania w dydaktykę wykładowców jakoś się nie dyskutuje.

Patrząc całościowo okazuje się, że mamy dosyć pokaźny zbiór kryteriów, w których można byłoby oceniać jakość kształcenia i nauki, ale nie wszystkie są wykorzystywane do takiej oceny. Opisane tu rozwiązania są dobrane subiektywnie, a więc ich zbiór zapewne będzie znacznie większy. Warto np. zastanowić się nad wskaźnikami odzwierciedlającymi stosunek studentów przypadających na jednego nauczyciela akademickiego. Nad tym jak egzekwować wiedzę i umiejętności – bo chyba nie tylko testami? Jak walczyć z narastającą plagą plagiatów?

Czy jakość kryteriów oceny jakości kształcenia i nauki w naszym kraju można ocenić pozytywnie? Problem jest zbyt złożony, aby żądać precyzyjnej odpowiedzi tylko tak lub nie. Różne doświadczenia wielu naukowców pracujących w szkolnictwie wyższym powinno się jednak poddać procesowi ważenia statystycznego, bo jedyne czynniki są bardziej, drugie mniej istotne. Dopiero wówczas będzie szansa na powstanie spójnego systemu kryteriów oceny. Można oczywiście sięgać też do doświadczeń innych krajów, ale należy pamiętać, że różne w nich uwarunkowania (choćby kulturowe) nie zawsze pozwalają na prostą ich implementację u nas.